

50. ROCZNICA WRZEŚNIA 1939 REFLEKSJE

Instytut Zachodni, którego organem jest „Przegląd Zachodni”, nieprzerwanie penetrował przez prawie 45 lat problematykę tzw. niemcoznawczą, publikując wyniki badań na łamach dotychczas 250 tomów tego dwumiesięcznika.

Z okazji oddania Czytelnikom kolejnego, 251 tomu naszego czasopisma, zwróciliśmy się z prośbą do wybitnych znawców problematyki stosunków polsko-niemieckich o napisanie krótkich refleksji związanych z minioną 50. rocznicą Września 1939, prosząc o ustosunkowanie się do następujących problemów: czy w wiedzy o Wrześniu 1939 są jeszcze luki i niedomówienia, mogące niekorzystnie wpłynąć na ocenę wydarzeń oraz kształtowanie się świadomości historycznej, np. młodego pokolenia Polaków, czy kształtowanie w kontekście Września 1939 obraz Niemców i stosunków polsko-niemieckich odpowiada lansowanej obecnie tezie o Europie — wspólnym domu, czy nadszedł już czas na ewentualne pojednanie Polaków i Niemców, jak np. uczyniono to między Francją i RFN?

Publikując poniżej nadesłane refleksje mamy nadzieję, że stanowiąc będą ciekawą lekturę i zaowocują dalszymi, własnymi przemyśleniami naszych Czytelników.

Redakcja

Prof. Bogdan Suchodolski,
PRZEWODNICZĄCY NARODOWEJ RADY KULTURY

Refleksja nad stosunkami polsko-niemieckimi jest ważnym elementem naszej świadomości społecznej, a także i procesów formowania się europejskiej samowiedzy. Wrześniowa rocznica wybuchu drugiej wojny światowej zachęca do krytycznej refleksji. Pół wieku minęło od tamtych wrześniowych dni. Okres to dostatecznie długi, aby rewidować ustalone schematy i próbować odsłaniać nowe horyzonty.

Wrzesień 1939 r. może być punktem wyjścia różnorodnych rozmyślań. Wciąż jeszcze dominujące są rozważania nad przyczynami militarnej klęski i wytrwałości narodu w walce o istnienie. Mniej uwagi poświęca się międzynarodowemu znaczeniu wrześniowej wojny, tej polskiej wojny, od której zaczęła się wojna światowa. Jest ważne, aby uświadomić sobie, iż nie była to wojna po prostu z Niemcami, ale z hitlerowskimi Niemcami. Przymierza militarne, którymi obdarzano Polskę i rozpoczęcie działań wojennych w jej obronie, rodziły się z obawy przed imperializmem niemieckiego państwa, ale przede wszystkim z obawy przed agresywną ideologią hitleryzmu.

Rozróżnienie tych dwóch różnych motywacji przejawiało się bardzo charakterystycznie w pytaniu, które mi postawiono w Uniwersytecie Londyńskim, gdzie byłem z wykładem w 1945 r. Pytanie brzmiało: Czy Polacy walczyli z Niemcami czy z hitleryzmem? Rozumiałem, iż gdy odpowiem, iż walczyliśmy z Niemcami będę oskarżony o polski nacjonalizm, a gdy odpowiem, iż walczyliśmy z hitleryzmem będę oskarżony o radykalizm orientacji komunistycznej. Odpowiedziałem więc, iż — tak, jak i wy, Anglicy walczyliśmy z hitlerowskimi Niemcami. Ta odpowiedź bardzo się podobała. To autobiograficzne wspomnienie ilustruje dwoistą motywację drugiej wojny światowej.

Ma to znaczenie dla pamięci o tych czasach, gdyż wojnę polsko-niemiecką pamiętamy przede wszystkim, jako wojnę z hitleryzmem prowadzoną w obronie narodu. Chodziło w tej wojnie o zniszczenie narodu, a nie tylko o pokonanie państwa. Stąd systematyczna zaciekłość w niszczeniu polskości na wszystkich polach. Czy potrafimy to kiedykolwiek zapomnieć?. Na to pytanie skłonni jesteśmy wciąż jeszcze dawać odpowiedź negatywną. Jednak nie możemy nie widzieć, iż cała europejska społeczność już dawno dokonała rozróżnienia między aktywnymi uczestnikami hitlerowskiego ruchu a obywatelami niemieckimi, wolnymi od tej skazy. Stosunki z narodem niemieckim, jako całością, oparto na normalnej wspólnocie politycznej i humanistycznej.

Oczywiście możemy powiedzieć, iż skala i intensywność okupacyjnych prześladowań w Polsce była znacznie większa, niż w innych okupowanych krajach, ale w wielu z nich, jak np. w Jugosławii lub Francji, była znaczna, a jednak uległa czy też ulega dużemu zatarciu. Czy mielibyśmy zostać jedynymi w Europie i świecie, których pamięć, wciąż jednak surowa, wznosić będzie tamę utrudniającą normalizację polsko-niemieckich stosunków? Czy nie powinniśmy uczestniczyć w procesach, które pozycję RFN w świecie opierają na rozróżnieniu między niemieckim narodem i hitleryzmem.

Powiedzieliśmy, iż wojna wrześniowa i okupacyjna miała dwoisty charakter. Była wojną hitlerowsko-polską, ale także i wojną niemiecko-polską. Wieki historii składały się na ten nurt zdarzeń i wspomnień, a także niepokojów i ostrzeżeń. I dziś w potocznym mniemaniu utrzymuje się przekonanie, iż państwo niemieckie, RFN tylko czeka na okazję rewanzu. Z tego punktu widzenia tendencje do zjednoczenia dwóch państw niemieckich traktowane są jako wielkie zagrożenie dla naszego państwa. Polityczne rękojmie, iż tak się nie stanie zależą w niewielkim stopniu od naszej polityki, ale w naszym ręku są inne możliwości różnorodnego kształtowania stosunków między obu naszymi narodami. Jednak drugie państwo niemieckie komplikuje te stosunki polsko-niemieckie. Oczywiście daje nam ono gwarancje polityczne, iż neohitleryzm

i wojna nie powstaną na tej ziemi niemieckiej. Ale co to oznacza dla stosunków międzyludzkich? Czy mielibyśmy kształtować je w zależności od tego, jaka jest przynależność państwowa? I czy wedle tego samego kryterium rozdzielimy nasz stosunek do kultury niemieckiej akceptując kulturę Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ale odnosząc się z rezerwą i podejrzliwością do Republiki Federalnej? To rozróżnienie nie ma sensu i będzie się to stawało coraz widoczniejsze w przyszłości, w której proces jednoczenia obu państw niemieckich będzie czynił postępy. Ale już dziś, patrząc w przeszłość, mamy poważne trudności w formułowaniu koncepcji dwóch kultur niemieckich. Czy mamy cenić tylko tę, która rozwija się w granicach NRD i odrzucać tę, która istnieje w RFN? Ale przecież granice te są zatarte. Do której z tych kultur zaliczać będziemy Kanta czy Hegla? Czy Brecht nie należy do obu? Oczywiście, jak w każdej kulturze, tak i w kulturze niemieckiej obu państw istnieją różne prądy i kierunki, różnorakie interpretacje i hierarchie wartości. Wszystko może i powinno być przedmiotem krytyki i akceptacji. Ale taka postawa jest już postawą uczestniczącą. Porzucenie takiego uczestnictwa oznaczałoby wyrzeczenie się znacznego obszaru kultury europejskiej. I na to nie powinniśmy sobie pozwalać.

Prof. Antoni Czubiński

DYREKTOR INSTYTUTU ZACHODNIEGO

1. Wrzesień 1939 r. zaznaczył się w mojej pamięci na zawsze. Dla mojego pokolenia stanowi on nie tylko ważną cezurę w rozwoju stosunków polsko-niemieckich i państwa polskiego, ale również stosunków pomiędzy narodami polskim i niemieckim. Agresji na Polskę dokonały Niemcy. Opozycja antyhitlerowska była słaba. Także protesty wobec agresji, jak i wobec polityki hitlerowskiej w okupowanej Polsce były słabe i bez większego znaczenia politycznego. Stąd w przekonaniu mojego pokolenia Hitler wyrażał wolę przytłaczającej większości społeczeństwa niemieckiego. Jego polityka wobec Polski i w Polsce cieszyła się uznaniem i poparciem większości Niemców. W miarę rozwoju wydarzeń na frontach II wojny światowej opozycja antyhitlerowska w Niemczech rosła i nabierała coraz większego znaczenia. Jednak w sprawie polskiej opozycja zajmowała stanowisko nieprzejednane. Polaków nadal traktowano wrogo. Znaczna część opozycji opowiadała się za przywróceniem granic Niemiec z 1914 r. Potępiano natomiast i odrzucono hitlerowską politykę ludobójstwa.

2. Wiedza o wrześniu 1939 r. w moim przekonaniu jest w dużym stopniu niepełna. Występują w niej poważne luki i niedomówienia; krążą różne legendy. Do tej pory odpowiedzialność za wybuch wojny

i jej skutki jednostronnie zrzucano na Hitlera i faszyzm, pomniejszając odpowiedzialność narodu niemieckiego za te sprawy. Nie pisano też o polityce ZSRR z jesieni 1939 r. W związku z tym powstała legenda, głosząca jakoby za wybuch wojny odpowiadali Hitler i Stalin. Niektórzy w rozumowaniu tym idą jeszcze dalej i główną odpowiedzialnością obarczają Stalina. Nie ulega wątpliwości, że Stalin zawierając z Hitlerem układ o nieagresji z 23 VIII 1939 r., a następnie układy o granicy i sojuszu z 28 IX 1939 r., znacznie ułatwił realizację jego planów. Ale przecież nie decydował o tych planach. Gdyby Stalin nie zawarł tych układów z Hitlerem, to agresja niemiecka także by miała miejsce. Może nieco później i na pewno w innych warunkach. Sama agresja planowana była jednak przez Hitlera niezależnie od stanowiska Stalina. Powstrzymać Hitlera mogłyby tylko mocarstwa zachodnie. Polska mogła też przyjąć postulaty Hitlera i razem z Niemcami uderzyć na ZSRR. Hitler bardzo liczył na taki rozwój wydarzeń. Opinia publiczna w Polsce w 1939 r. nie uznawała takiego rozwiązania. Słusznie też nikt dzisiaj do koncepcji tej nie nawiązuje. Polska nie podporządkowała się Hitlerowi. Podjęła wojnę obronną, przerywając pasmo pokojowych sukcesów Hitlera. Fakt ten jest także różnie interpretowany i można z niego wysnuwać różne wnioski.

3. Lansowany przez szkołę i publicystykę historyczną w Polsce po wojennej obraz Niemca uległ już znacznej ewolucji. Szybki rozwój ekonomiczny RFN i rosnące znaczenie tego państwa w świecie zmuszają wielu ludzi do przewartościowania ocen. Młodzież, która nie pamięta wojny, kształtuje swoje oceny wyłącznie na podstawie własnych mniej lub bardziej bogatych doświadczeń życiowych. Szczególną rolę spełniają tutaj liczne wyjazdy do obu państw niemieckich. Symptomatyczny jest fakt, że bezpośrednio po wojnie Niemcy leżały w gruzach i wielu Niemców nie chciało opuścić Polski i przesiedlić się do Niemiec. Od wielu lat natomiast, mimo przymusowych przesiedleń z lat 1945-1949 i procesu łączenia rodzin, stale rośnie liczba osób deklarujących chęć przeniesienia się na stałe z Polski do RFN. Ujawniają się coraz to nowi Niemcy lub osoby mające niemieckich krewnych. RFN staje się państwem coraz bardziej w Polsce szanowanym i atrakcyjnym. Dzieje się tak wbrew przez wiele lat uprawianej oficjalnej propagandzie, prezentującej ten kraj w ujemnym świetle. Nie można natomiast tego powiedzieć o drugim państwie niemieckim. W NRD pracuje wielu Polaków. Jest to jednak kraj zdecydowanie mniej atrakcyjny. Stosunek do państwa przenosi się niekiedy na stosunek do jego obywateli. Wprawdzie wielu Polaków ma przyjaciół także w NRD, to jednak nie można faktu tego porównywać z dość szeroko zakrojoną akcją indywidualnej współpracy Polaków z Niemcami z RFN.

W każdym bądź razie w 50 lat po agresji hitlerowskiej na Polskę obserwuję zjawisko daleko idących zmian w nastrojach i w opinii publicznej. Znaczna część społeczeństwa polskiego, zachowując pewną nieufność do Niemców, gotowa jest jednak do współpracy z nimi. Teza o Zjednoczonej Europie znajduje wielu zwolenników. Przeciętny Polak uznaje się za Europejczyka i hasło wspólnego domu europejskiego stanowi dlań określoną wartość ideową i polityczną. Tym bardziej, że zbrodnie popełnione przez Niemcy hitlerowskie nieco wyblakły wobec ogromu prezentowanych obecnie zbrodni Stalina. Spór historyków RFN na temat względności zbrodni hitlerowskich uzyskał w Polsce znaczne wsparcie propagandowe. Inicjatorzy tego sporu mogą dziś mówić o znacznym sukcesie propagandowym.

4. Problem pojednania jest nadal bardzo trudny moralnie, ponieważ istnieje część Niemców głoszących, że to Polacy w latach 1944-1949 uczynili Niemcom więcej szkód, niżli Niemcy Polakom w latach 1939-1945. W miarę wzrostu wpływów i znaczenia RFN i NRD rośnie buta i pewność siebie kół rewizjonistycznych i rewanżystowskich. Utrudnia to nie tylko pojednanie, ale wręcz hamuje możliwość porozumienia i współpracy. Jeśli nawet dojdzie do oficjalnych, formalnych aktów pojednania, to wspomniane wyżej stanowisko powodować będzie, iż pojednanie to obejmie tylko niektóre grupy, ale nie całe narody. Sądzę, że droga do pełnego pojednania jest jeszcze długa i trudna. Wymaga ono wiele pracy i zrozumienia po obu stronach granicy; wymaga też rezygnacji z nawiązującego do rasizmu przeświadczenia o własnej wyższości, poszanowania przedstawicieli drugiego narodu itp.

Prof. Władysław Markiewicz
WICEPREZES POLSKIEJ AKADEMII NAUK

W pamięci mojego pokolenia, prawdopodobnie ostatniego już w historii narodu polskiego pokolenia rdzennych romantyków, Wrzesień pozostanie tyleż tragicznym co i wzniosłym przeżyciem. Czy to w konspiracji, czy to na robotach przymusowych w Rzeszy, czy też wreszcie w więzieniach i w obozach koncentracyjnych zawsze znajdowałem się w kręgu przyjaciół, którym — tak jak to wieszcz przeczował — święta miłość kochanej Ojczyzny, póki można ją było wspierać, rzeczywiście czyniła okupacyjne więzy i pęta niezelżywymi. Trafiali się w moim otoczeniu także osobnicy małoduszni i tchórzliwi, a nawet niegodziwcy, ale przecież nie oni nadawali ton, co więcej, w atmosferze patriotycznego żaru, w jakim — zdawało nam się — bezustannie żyjemy również oni zazwyczaj czuli się zmuszeni kamufłować swoje charakterologiczne ułomności i zdobywali się na szlachetne gesty.

Rzecz przy tym znamienita: ci sami ludzie, pielęgnujący przede wszystkim przez szkołę i harcerstwo zaszczerpiiony im górnolotny *ethos* patriotyczny, potrafili w czasie pokoju stosunkowo łatwo przedzierzgnąć się w trzeźwych realistów, którzy bez zbytniego ociągania się przystąpili do odbudowy kraju i urzędu własnego gniazda. Chyba słusznie socjologowie nazwali teraźniejszych sześćdziesięciolatków pokoleniem walki i odbudowy.

Tej generacji zły los z pewnością niczego nie poskąpił: ani moralnych i fizycznych katuszy, ani katorżniczej harówki, ani rozgoryczeń i gorzkich zawodów i tego co może być najgorszą zmorą — ciągłej niepewności własnego jutra i niepokoju o istoty sercu najbliższe.

Jednakże wszystkie te cierpienia — wydawać by się mogło — daleko wykraczające poza wyobrażenia o tym co człowiek jako istota biologiczna i duchowa potrafi znieść i udźwignąć, znosiliśmy nie to że bez małodusznego sarkania i słabeuszowskiej egzaltacji, lecz na przekór triumfującemu tyranowi nieraz zgola buńczucznie, a nawet z humorem. Albowiem jednej najcenniejszej wartości, która nam codziennie przeżywaną gorycz osładzała, nie można było nam odebrać: wiary w naród i w to, że jego na końcu będzie zwycięstwo.

Nie jestem powołany do tego, aby przemawiać do narodu, zwłaszcza zaś do młodzieży, w imieniu mojej generacji, jako że ci, co mieliby do tego prawo zmarli, polegli lub zostali pomordowani, a pozostali moi rówieśnicy, którzy dożywają dziś swoich dni nie obdarzyli mnie i resztą — zważywszy, iż biografia każdego z nas jest czymś niepowtarzalnym — obdarzyć nie mogą swoim w tym względzie mandatem. Skoro jednak jako Polak, którego osobowość ukształtował Wrzesień jestem pytany o to co sędzę o istocie tego historycznego wydarzenia i jakie jest główne przykazanie płynące z doświadczeń Września, z całym przekonaniem taką tylko mogę dać odpowiedź: Wrzesień 1939 dowiódł, że nawet najcięższe klęski i nieszczęścia, jakie przytrafić się mogą narodowi, nie są w stanie złamać go i unicestwić, jeśli tylko zachowa on wiarę w swoje niespożyte siły i okaże niezachwianą wolę godnego przeżycia. Nie ma w tym stwierdzeniu ani krzty górnolotnego okolicznościowego moralizatorstwa, czy jubileuszowego dydaktyzmu, jest to po prostu prawda, o której nasz utrudzony naród powinien zawsze pamiętać.

Nie jestem profesjonalnym historykiem i dlatego nie potrafiłbym precyzyjnie wskazać miejsc, stanowiących przysłowiowe białe plamy w opisie zdarzeń wrześniowych oraz w analizie i ocenie przebiegu kampanii wrześniowej i okupacji hitlerowskiej. Jako socjolog odczuwam niedosyt informacji na temat postaw i zachowań różnych kategorii społecznych: grup zawodowych, wiekowych, środowiskowych itd. — najpierw w obliczu samej napaści hitlerowskiej i pierwszego zetknięcia się

z najeźdźcą, a następnie wobec codzienności życia w okupowanym kraju. Wprawdzie istnieją liczne opracowania naukowe na ten temat oraz obfite materiały pamiętnikarskie, jednakże odtworzenie na ich podstawie możliwie dokładnie warunków życia polskich społeczności lokalnych jest bardzo trudne, a wobec wymierania pokolenia wojennego będzie coraz trudniejsze. Mogłem przekonać się o tym już przed ćwierćwieczem, kiedy przygotowywałem rozdział o okupacji hitlerowskiej do monografii zbiorowej pt. *Dzieje Gniezna* (pod redakcją Jerzego Topolskiego).

Pamięć o Wrześniu, który zapoczątkował największy w historii ludzkości kataklizm wojenny, żadną miarą nie może zagać w naszym narodzie nie dlatego, iżbyśmy masochistycznie mieli lubować się w ciągłym odtwarzaniu dziejów polskiej martyrologii. Po prostu nie wolno do tego dopuścić, jeśli poważnie traktuje się ideę budowy wspólnego europejskiego domu.

Moralno-polityczną przesłanką urealnienia tej pięknej idei jest stworzenie na naszym kontynencie takiej sytuacji, że ewentualne pojawienie się groźby nowej wojny stanie się niemożliwe ponieważ zaś — jak wiadomo — „kto nie wyciąga nauk z przeszłości, ten ją ponownie przeżywa” (Benjamin Armon), przeto w imię utrwalenia pokoju w Europie właśnie nie należy zapominać o Wrześniu. Dotyczy to nie tylko Polaków jako pierwszych ofiar II wojny światowej, najdotkliwiej przez nią ugodzonych i sponiewieranych, lecz w równym a może nawet w jeszcze większym stopniu narodu niemieckiego jako sprawcy tego nieszczęścia.

Czy oznacza to, że powinniśmy wszystkich współczesnych Niemców, wśród których większość stanowią roczniki urodzone i wychowane po wojnie obarczać odpowiedzialnością za zbrodnie nazizmu? Przyjęcie takiego punktu widzenia byłoby kompletnym anachronizmem, albowiem w praktyce oznaczałoby afirmację i próbę przeniesienia na Boga ducha winnych ludzi nieludzkiej i skrajnie irracjonalnej hitlerowskiej zasady zbiorowej odpowiedzialności. Gwarancją, iż teraźniejsi Niemcy nie mają nic wspólnego z tymi swoimi ziomkami, którzy nam i innym podbitym narodom kojarzą się z bezceństwami zapoczątkowanymi we Wrześniu 1939 r., może być tylko to, że młode pokolenie uświadomi sobie prawdę o haniebnej ciemniznijskiej roli, jaką odegrali jego ojcowie i dziadkowie w najnowszych dziejach Europy i świata i że uczyni wszystko co leży w jego mocy, aby ta ponura historia nie mogła się już nigdy powtórzyć. Naszą powinnością jest wspierać tego rodzaju szlachetne intencje i wręcz demonstrować to, że potrafimy odróżniać dawnych oprawców z Auschwitz od dzisiejszych oświęcimskich pątników, mimo że jedni i drudzy wywodzą się z tego samego narodu.

Animozje i nienawiści między narodami mają swoją odległą i niezwykle poplątaną historię, toteż wszelkie analogie odnośnie do sposobów i dróg wiodących do ich przewycięzania są z reguły zawodne i mało przydatne. Zostawmy osądowi Francuzów i Niemców to czy rzeczywiście nastąpiło już między nimi ostateczne pojednanie (skądinąd wiadomo, że niektórzy w ten błogostan nie wierzą), my natomiast powinniśmy szukać własnej, uwzględniającej dawne zaszłości i aktualne okoliczności formuły dla polsko-niemieckiego zbliżenia. Jest ono nie tylko możliwe, ale także konieczne, jeśli z czasem ziścić się ma idea zjednoczonej Europy.

Red. Marian Podkowiński

PUBLICYSTA TYGODNIKA „PERSPEKTYWY”

Mija pół wieku odkąd Hitler napadł na Polskę. Niewątpliwie było winą ówczesnej propagandy, że usiłowała wprowadzać opinię publiczną w błąd motywując zawarcie układu z Trzecią Rzeszą zapewnieniem pokojowego rozwoju stosunków z Berlinem. Świadczy o tym wywiad, jaki uzyskała rządowa „Gazeta Polska” od Hitlera. Do ostatniej chwili rząd ludził się, że mimo aneksji Austrii i Czechosłowacji Polska wyjdzie z ówczesnej sytuacji obronną ręką. Ponieważ Hitler nie mógł osiągnąć tego czego chciał — aneksję Gdańska i w gruncie rzeczy Pomorza bez wojny i co zepsuło mu jego concept jako polityka pokoju — los Polski był przesądzony. To czego doznał naród polski jest bezprzykładne. Była to zemsta Hitlera, pewnego zwycięstwa nad Europą.

Wrzesień stał się więc nie tylko synonimem klęski, ale i zagłady. Nie była to już wojna, ale stopniowa likwidacja narodu polskiego. Wojna z Hitlerem przestała być ograniczonym polem militarnej walki, ale weszła do każdego polskiego domu. Stąd też wymiar tej wojny, jakiej nie znały dzieje Europy. Zrozumiałe, że musiało dojść do nienawiści na skalę, jakiej dawne wojny nie znały. To jedna strona tego medalu.

Drugą stanowi nasz stosunek do Września. Walczyliśmy ponad nasze siły, tracąc wiarę w jakąkolwiek pomoc zewnętrzną. Wydaje mi się jednak, że zrobiony był poważny błąd zarówno zaraz po klęsce militarnej jak i po wojnie, kiedy naród niemiecki rzucony został na kolana i poddany okupacji, jakiej nie znał w swoich dziejach. Nie powinniśmy byli mówić o klęsce niemal totalnej, o końcu naszego świata. Błędem naszej propagandy było określanie Września jako zawinionej klęski zamiast uświadamiania naszego narodu, że Polska dopiero zaczęła walczyć i że gdyby nie była uparta i przyjęła warunki jak to uczyniły inne narody bez względu na to pod jakim pretekstem — Hitler bez trudu do-

tarłby aż nad Ural. Właśnie dlatego, że stawialiśmy opór — wciągnęliśmy Europę do wojny z Hitlerem, której on wygrać nie był w stanie. To był nasz wkład do drugiej wojny światowej i nasze końcowe zwycięstwo. Nie wolno nam było zwłaszcza po wojnie nadal oplakiwać klęskę wrześniową, która w szerszym ujęciu tego problemu wcale klęską nie była, lecz początkiem kampanii wojennej, z której powinniśmy być dumni. Francuzi swojej klęski z Hitlerem nie potraktowali jako tragedii narodowej, ale jako pierwszy etap w wojnie z Trzecią Rzeszą.

Rezultatem rozdrapywania ran nad pozorną klęską wrześniową był oczywiście emocjonalny stosunek do całego zagadnienia stosunków z Niemcami. Poza zemstą niczego nie planowaliśmy. I podczas gdy inne narody także okupowane przygotowywały się do życia w pokoju, i w świadomości, że przyjdzie im nadal żyć z Niemcami, w Polsce nad tym problemem nikt się nie zastanawiał. W każdym razie żyliśmy dłużej od innych w nadziei, że porachujemy się z Niemcami. Byłoby to oczywiście i możliwe, i proste, gdybyśmy pozostali sami na placu z Niemcami. Ale o tym mowy być nie mogło odkąd wojna z Trzecią Rzeszą była sprawą całej niemal Europy. A przecież mieliśmy więcej do wygrania od innych narodów uwikłanych w wojnę z Hitlerem. Odzyskaliśmy Ziemię Zachodnią i Północną, a naszym sąsiadem została Niemiecka Republika Demokratyczna. Niemcy stali się skompromitowanym narodem, godnym potępienia i nawet pogardy. Proces norymberski odsłonił kulisę Trzeciej Rzeszy a żadne próby wybielania przeszłości nie powiodły się. Długo przyszło im chodzić we włosienicy pokutnej, nawet jeśli przyznać się do tego nie mieli zamiaru. Wyrok sprawiedliwości historycznej był niekwestionowany, nawet jeśli obecnie znaleźli się historycy, którzy relatywizują przeszłość usiłując wytargować dla siebie taryfę ulgową. Nikt nie wylewa w Europie łez nad podziałem Niemiec i nikt też nie zamierza zmienić powojennego *status quo* w Europie. Czyż więc Niemcy nie zapłacili za wojnę, którą nam wszystkim narzucili?!

Pół wieku od Września to długi okres dla każdego narodu. To dwa pełne pokolenia powojenne. To zmiana światowej optyki i przemiany w mentalności tych, którzy ongiś stanęli do walki. Zachodzi więc pytanie czy jest to jednak wystarczający czas, aby nie zapominając o tym co zaszło stworzyć perspektywę przemian niezbędnych do dalszej pokojowej egzystencji narodów. Odwracanie sojuszków i aliansów jest w historii normatywnym współżycia narodów w obiektywnie nowych warunkach. Tak było zawsze, kiedy upływ czasu stwarzał możliwość zmiany nastawienia u pokoleń, których wzajemne stosunki nie mogły opierać się tylko na rozpamiętywaniu przeszłości. Świat byłby bowiem pełen komórek do wynajęcia dla kompletnej izolacji od głównego nurtu dziejowego, bez którego życie przypominałoby los pustelnika.

Jeśli mówimy obecnie o wspólnym europejskim domu zachodzi pytanie czy dojrzelismy już do tego psychicznie? I jakie inne wyjście upatrujemy w sytuacji, kiedy wzorce dawnego życia międzynarodowego ulegają erozji. Technika sprawiła, że świat nasz skurczył się do małego globu, w którym nie ma miejsca na bariery, hamujące dalszy rozwój współpracy międzynarodowej i wymiany handlowej. Nie ma miejsca na kulturowy egoizm i nacjonalistyczne sobkostwo. To są już marginalia w czasie, kiedy wkraczamy w trzecie tysiąclecie naszej ery. Czyż możemy w tej sytuacji akurat na granicy naszych uprzedzeń — jednako u Niemców i Polaków — trwać na dawnych pozycjach? Czy możemy patrząc na ten świat niczego nie dostrzegać? Zrozumieli to Francuzi i Izraelczycy, Norwegowie i Rosjanie. Czyż tylko my musimy stale pozostawać w tyle?

Właśnie dlatego, że Wrzesień był i pozostanie naszą heroiczną kartą i najlepszą wizytówką w salonie świata — w obecnym układzie sił na naszym globie nie mamy powodu ani potrzeby udawać obrażonych tam, gdzie nikt nas do tego nie zmusza. Wrzesień daje nam daleko większą szansę okazywania wielkoduszności aniżeli miałby do tego prawo jakikolwiek inny naród w Europie. Wrzesień nie wywołuje u nas — w każdym razie nie powinien — jakichkolwiek kompleksów niższości, gdyż pokazaliśmy całej Europie i Niemcom do czego zdolny był nasz naród w warunkach nieludzkiego terroru.

Z osobistych doświadczeń wiem, że właśnie Niemcy zrozumieli to lepiej od innych narodów, stąd ich „polskie kompleksy” i czynione wysiłki, aby mogło kiedyś jednak dojść do pojednania. Temat ten był myślą przewodnią niejednej powieści powojennej napisanej przez niemieckich pisarzy. Nikt w literaturze światowej nie poświęcił Polsce tyle miejsca co właśnie niemieccy autorzy po obu stronach Łaby.

Czy nadszedł wobec tego czas pojednania? Problem to skomplikowany i może być stopniowo osiągnięty etapami współpracy i porozumienia. Nie chodzi o układy międzyrządowe czy manifesty. Nie chodzi także o rozrachunek z przeszłością, rzecz sama w sobie zrozumiała. Chodzi o moralne przetrwanie problemu, którego sojusznikiem jest czas i przyszłość ludzkości. Nienawiść jest bardzo kosztowna i niczego nie przynosi. Współczesność nie będzie liczyła się z resentymentami, gdyż cofać będzie wskazówki dziejowego zegara także w naszych stosunkach z narodem niemieckim. Myślę, że przeważająca część Niemców rozumiała słowa poety Bertolda Brechta, kiedy los swego narodu przyrównał do upadku wojowniczej Kartaginy: „po pierwszej wojnie jeszcze żyła, po drugiej — oddychała, po trzeciej przestała istnieć”.

W Warszawie i w Bonn wentylowana była sprawa, czy prezydent RFN pan Richard von Weizsäcker powinien wziąć udział w spotkaniu na
Przegląd Zachodni, nr 4, 1989

Westerplatte. Były głosy sprzeciwu po obu stronach. Rany wojenne długo się zabliźniają, ale czy mogą powstrzymać bieg czasu? Pod Verdun lała się strumieniami krew Niemców i Francuzów, a mimo to w tym właśnie miejscu spotkali się prezydent Mitterrand i kanclerz Kohl. Jeśli w przyszłości prawdziwy pokój oznaczać będzie nie tylko „przerwę między wojnami” — spotkanie na Westerplatte może być tego symbolem, podobnie jak Westerplatte pozostanie naszym zwycięstwem mimo militarnej porażki...

Prof. Anna Wolff-Powęska
INSTYTUT ZACHODNI

Zbieżność kilku rocznic o znacznym ciężarze gatunkowym, obchodzonych w 1989 r. w Republice Federalnej Niemiec ma swą moralną i polityczną wymowę: 40-lecie konstytucji oraz dwupaństwowości niemieckiej, 200-lecie Rewolucji Francuskiej oraz 50-lecie wybuchu drugiej wojny światowej — wywołują sprzeczne uczucia i emocje. Duma z dochowania wierności zasadom demokracji i parlamentaryzmu oraz ideałom 1789 r. przeplata się z poczuciem winy, kompleksem poniżenia i klęski. Zderzenie tych diametralnie różnych odczuć i postaw każe spojrzeć na Niemców z uwzględnieniem całej złożoności i specyfiki ich historycznego rozwoju. Rocznice te zmuszają do postrzegania naszych zachodnich sąsiadów nie tylko jako sprawców największego kataklizmu wojennego w naszych dziejach, lecz obywateli państwa, które ma niezaprzeczalne zasługi w konstruowaniu europejskiej polityki odprężenia.

Pojednanie między narodami stanowi proces długotrwały, wymagający zrozumienia uwarunkowań i motywacji postaw oraz psychicznej gotowości do zapominania i wybaczenia. Nie wystarczy pojednanie zadekretowane umowami międzynarodowymi. Potrzebny jest udział w tym procesie autentycznych sił i autorytetów społecznych. Przypomnienie tej — z pewnością — banalnej prawdy służy ilustracji postawy polskiego narodu wobec problemu niemieckiego. Historyczne obciążenia, wieloletnia konfrontacja dwóch odmiennych bloków polityczno-militarnych, w których Polska i RFN stanęły naprzeciw siebie, lęk przed odrodzeniem się faszyzmu i ewentualnością zjednoczenia Niemiec to główne czynniki, które określały polskie postawy i oceny.

Dziś, u schyłku mijającego stulecia stajemy przed nową szansą: zintegrowana Europa, cel dążeń Polaków i Niemców może stanowić nowy, ważki atut na drodze pojednania.

„Wspólny europejski dom”, hasło, na które tak ochoczo powołują

się dziś niemal wszyscy politycy, choć to wizja tyleż odległa, co i dotąd mało skonkretyzowana, jest nie do pogodzenia z dominującymi w obiegu opinii nieprzyjawnymi postawami i fałszywymi stereotypami Niemca. „Wspólny dom” zakłada bowiem *ex definitione* wspólnotę interesów, współpracę, nade wszystko zaś zaufanie. Czyż można egzystować pod jednym dachem z sąsiadem, któremu przypisuje się niemal wyłącznie wrogie intencje i podważa wiarygodność jego przyjaznych deklaracji?

Przyszłość Europy, jej bezpieczeństwo wymaga wspólnego działania jej mieszkańców. Autentyczne pojednanie dwóch tradycyjnie wrogich sobie narodów: Polaków i Niemców to wymóg nie tylko czasów. Lista argumentów przemawiających za tą koniecznością jest długa, ich ciężar gatunkowy zróżnicowany. Przekonanie społeczeństwa o potrzebie pojednania zależy w pewnym stopniu od odpowiedzi na pytanie, czy ze strony niemieckiej zagraża nam niebezpieczeństwo wojny. Z perspektywy dnia dzisiejszego groźbę taką należałoby wykluczyć. Problem niemiecki ma dla Polski dwa wymiary: jest to kwestia polskiej granicy zachodniej oraz jedności niemieckiej. RFN uznała w grudniu 1970 r. ostateczność granicy na Odrze i Nysie, a jako sygnatariusz układu końcowego KBWE zobowiązała się do respektowania suwerenności narodów europejskich. Jako państwo demokracji parlamentarnej, członek wspólnoty europejskiej i atlantyckiej RFN osiągnęła zbyt wiele, aby ryzykować utratę stabilizacji, zdobyczy oraz szacunku. Zachodnioniemiecka dyskusja wokół zjednoczenia narodowego, wywołująca tak wiele emocji w polskim społeczeństwie, abstrahuje od jej prawicowych i lewicowych ekstremizmów, skłania do wniosku, iż prawo obywatelstwa zyskuje sobie przekonanie, iż zjednoczenie Niemiec ma szansę na realizację jako efekt długotrwałego procesu przezwyciężania konfliktu między Wschodem i Zachodem. Czyż wizja tej odległej, nie dającej się określić ani w czasie, ani w formie perspektywy może stanowić permanentny straszak dla Polaków?

Uwarunkowania międzynarodowe lat osiemdziesiątych, klimat odprężenia ostatnich lat stanowią czynniki sprzyjające pojednaniu. Należy przyznać, że pewne środowiska społeczne w Polsce potrafiły wykorzystać tę koniunkturę. Między społeczeństwami Polski i RFN nastąpiło w wielu dziedzinach życia zbliżenie, nie dające się porównać z kontaktami z jakimkolwiek innym narodem europejskim. Stale rosnąca sieć powiązań między ludźmi, grupami społecznymi, organizacjami i instytucjami sprawia, iż między Łabą i Renem mamy bardzo wielu przyjaciół, a łączące nas wzajemne zależności zmuszają do respektowania racji jednej i drugiej strony. Nie bez znaczenia jest przy tym fakt, iż Republika Federalna Niemiec jest naszym największym kontrahentem handlowym po stronie zachodniej i — jak żadne inne państwo zachodnioeuropejskie — zainteresowana daleko idącą współpracą z naszym krajem.

Żyjemy w czasach, w których państwo przestało być jedynym aktorem działań politycznych. Społeczeństwa coraz dobitniej wyrażają wolę uczestniczenia w decyzjach politycznych. Czterdzieści lat podporządkowywania interesów człowieka, narodów, społeczeństw interesom bloków militarno-politycznych spowodowało spustoszenie w mentalności wielu narodów. Prostowaniu karków społeczeństw wschodnioeuropejskich, nieodłącznemu elementowi tzw. nowego myślenia winna towarzyszyć odnowa w dziedzinie polityki państw, w szczególności nowy rodzaj aktywności politycznej. Jeżeli Polska nie chce pozostać polityczną wyspą, musi zweryfikować swój stosunek do Niemców, tym bardziej iż państwa RWPG rozpoczęły już indywidualny wyścig do bram EWG, w której RFN zajmuje pozycję niekwestionowanego lidera. Czy się to nam podoba czy nie stanęliśmy, wskutek przyczyn, których omówienie nie mieści się w ramach niniejszej wypowiedzi, bezradni wobec sytuacji, która stanowi spełnienie wyrażonego w 1965 r. przez F. J. Straussa proroctwa, zapowiadającego „ureczywistnienie takiej Europy Zachodniej, która poprzez swój rozwój stanie się tak atrakcyjna, że będzie oddziaływać na kraje Europy Wschodniej jako centrum grawitacyjne”. Wyjście z tej sytuacji z godnością wymaga uporządkowania naszych własnych spraw, przewyciężenia wewnętrznego kryzysu, w tym również myśli politycznej oraz oparcia współpracy w ramach RWPG na odmiennych od dotychczasowych zasadach.

Kwestia niemiecka jest dla nas egzaminem z myślenia kategoriami realizmu politycznego, tym trudniejszym, że trzeba go zdawać wbrew doświadczeniom historycznym i resentymentom. Wymaga tego teraźniejszość i przyszłość. Europa, jak należy przypuszczać, nie będzie na wieki stanowiła pola gry między supermocarstwami. Trzeba tak ułożyć stosunki z naszymi sąsiadami, aby w sytuacji, gdy kontynent nasz odzyska większą samodzielność państwa Europy Środkowej nie stanowiły zarzewia konfliktu.

Polsce, która pozostanie przecież krajem między Niemcami i Rosjanami potrzebne jest głębokie przewartościowanie w postrzeganiu naszych sąsiadów. Przewartościowanie postaw wobec Niemców nie musi jednak oznaczać zapomnienia o przeszłości, niedostrzegania ekstremizmów i bezkrytycznego stosunku do różnych opcji politycznych. Sądzę, że wyrażona w 1947 r. przez Emmanuela Mouniera nadzieja: „Ufamy, że Niemcy przeciwstawiają się naporowi przeszłości, której nawrotu wystrzega się każdy z nas we własnym kraju. Niech łańcuch owych strażników oraz braterstwo czujnych Europejczyków wniesie nieco światła do naszych mrocznych czasów” stanowić może klucz do przewyciężenia niepokojów naszych czasów. *Braterstwo Europejczyków* może dać gwarancję, że sytuacja sprzed pięćdziesięciu lat nie powtórzy się.

Prof. Mieczysław Tomala

POLSKI INSTYTUT SPRAW MIĘDZYNARODOWYCH

Pięćdziesiąt lat temu strzały z hitlerowskiego pancernika *Schleswig-Holstein* rozpoczęły wojnę Niemiec przeciwko Polsce. Nie były to pociski mające zniszczyć tylko nasz kraj, strzały te wymierzone były także w Europę. Już wcześniej Hitler zniszczył podstępem i szantażem Austrię i Czechosłowację. Polska była jednak pierwszym państwem europejskim, które metodom Hitlera powiedziało — NIE. Naród polski czuł podświadomie, że jakiegokolwiek ustępstwo okaże się początkiem końca własnej suwerenności i niezależności; z postawy Hitlera emanowała bowiem antysłowiańskość i antypolskość.

W Rzeszy nie przyjęto z entuzjazmem wojny przeciwko Polsce, co jednakże nie oznaczało, iż sprzeciwiano się jej. Znaczna część społeczeństwa niemieckiego, w szczególności zaś *Wehrmacht*, uważały Polaków za naród mniej wartościowy, który się bezpodstawnie wywyższa, i który należy przykładnie ukarać.

I choć wrzesień 1939 r. zastał Polskę militarnie osamotnioną, a zbrojny opór skazany był z góry na niepowodzenie, determinacja narodu potrzebna była dla zadokumentowania niezaprzeczalnego jego prawa do własnego państwa, o które przecież walczyły poprzednie pokolenia — od rozbiorów Polski począwszy.

Postawa taka doprowadziła też Polskę do uzyskania w trakcie wojny znaczącej pozycji na arenie międzynarodowej, wyróżniającej nas wśród krajów koalicji antyfaszystowskiej Europy Wschodniej. Polska, która jako pierwsza podjęła nierówną walkę z Hitlerem, otrzymała też cios ze strony ZSRR. Nie był to wprawdzie cios przesądzający o wyniku walki, tym niemniej miał znaczenie psychologiczne, przyszedł bowiem ze strony, z którą Polska była związana układami i która wobec nas szermowała hasłami pokojowymi. Mówiąc młodemu pokoleniu Polaków o tej tragicznej karcie Września należy jednak pamiętać, aby w ocenie ówczesnych wrogów Polski zachować odpowiednie proporcje. To *Wehrmacht* rozpoczął agresję na Polskę pod hasłem niszczenia wszystkiego co polskie, co po polsku myślało i mówiło; zaś fakt wkroczenia ZSRR do Polski okazał się natomiast niewybaczalnym krokiem w opinii społecznej Polski.

Polska, leżąc w tej części Europy, gdzie od dawna ścierały się wpływy Niemiec i Rosji, była łakomym kąskiem dla jednego i drugiego mocarstwa. Działo się tak zawsze wtedy, kiedy kraj nasz był słaby zarówno pod względem gospodarczym, jak i społecznym i nie miał sprawnie działającego państwa. Polska jako sąsiad, któremu trzeba było jeszcze przed wiekami składać hołd w Krakowie i która więziła carskich przywódców, teraz okazała się we wrześniu 1939 r. słabym partnerem. Koła historii

obracają się powoli, ale jeśli nabiorą ruchu, trudno je powstrzymać. Taką właśnie szansą zatrzymania ich biegu stał się Wrzesień 1939 r. Teza ta wydaje się po trosze paradoksem, ale czyż nie jest też nim fakt, iż mimo klęski militarnej osiągnęliśmy zwycięstwo polityczne. Nawet w najtrudniejszych chwilach wojny nie można było mówić o wymazaniu nas z mapy Europy, przeciwnie staliśmy się — jak mawiał prezydent Roosevelt — „natchnieniem narodów”. Postawa ta winna być busolą dla młodego pokolenia Polaków, jeśli chce ono zdać egzamin przed historią; egzamin ten zdało już pokolenie ich ojców i dziadków, podejmując nierówny bój we wrześniu 1939 r.

Dzisiaj polem bitwy o miejsce Polski w Europie stały się laboratoria, uczelnie, sprawnie działająca gospodarka, nie zaś ulica lub wygodna „emigracja”. Czyż możemy dziś powiedzieć, że lata i dekady dzielące nas od klęski Rzeszy zostały przez Polskę dobrze wykorzystane? Czy nie utraciliśmy kontaktu z tymi krajami, które potrafiły lepiej zagospodarować i wykorzystać swoje bogactwa, niekiedy mniejsze od naszych?

Czy nie będziemy musieli mówić ponownie o latach straconych szans? Przecież rozwój Polski odbywał się bez zakłóceń zewnętrznych, byliśmy i jesteśmy „kowalami własnego losu”.

Wrzesień był punktem zwrotnym w historii Polski i Polaków. Idea niepodległości weszła głęboko w serca i umysły większości społeczeństwa polskiego, mimo iż cieszyło się nią dopiero 20 lat i za nie oddały swoje życie poprzednie pokolenia. Skonfrontowana z niszczycielską machiną Hitlera poderwała cały naród do bezkompromisowej walki. Był to naród, który nie wydał z siebie Quislinga.

Na obrazie Niemców i stosunków polsko-niemieckich zaciążyły negatywne doświadczenia wielu lat. Również polityka III Rzeszy wobec Polski potwierdziła, jakoby między Polakami a Niemcami musiał istnieć stan odwiecznej i wzajemnej wrogości. Tak też myślała wówczas duża część społeczeństwa polskiego. Ale czy inne narody europejskie nie myślały podobnie o Niemcach? Czyż nie zawierały między sobą paktów obronnych, skierowanych przeciwko ewentualnemu odrodzeniu niemieckiego imperiaizmu i militarizmu?

Dlatego też podejmowane dzisiaj próby wykazania rzekomo fałszywej wówczas postawy Polaków wobec Niemców są raczej próbą zniekształcenia historii. Reakcja Polski była bowiem normalną reakcją narodu, który uciekł spod gotowanej mu szubienicy.

Historia jednak nie stoi w miejscu. Przyszły nowe pokolenia Polaków i Niemców. Na ziemi niemieckiej doszło do powstania dwóch odrębnych organizmów państwowych i społecznych, odmiennych nie tylko w treści ideologicznej, ale też inaczej oceniających Polaków i niedawną wspólną polsko-niemiecką przeszłość.

Na ziemiach dzisiejszej NRD od pierwszej chwili po kapitulacji III Rzeszy podjęto trudny proces wychowania nowej generacji w szacunku do innych narodów i w duchu przyjaznym Polsce. W RFN natomiast znacznie później znalazły się siły polityczne, które zrozumiały, iż i to państwo winne jest ofiarom agresji hitlerowskiej polityczne i moralne zadośćuczynienie. Stąd też już w lipcu 1950 r. doszło w Zgorzelcu do uznania nowej granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie Łużyckiej przez NRD, a dopiero w dwadzieścia lat później, w grudniu 1970 r., przez RFN. Ale aktami międzynarodowymi czy też wspólnymi dokumentami nie można wymazać przeszłości, ani też zmieniać biegu dziejów. Są one co prawda najbardziej pomocnym instrumentem wychowywania nowych generacji, bowiem dzisiejsi obywatele tych państw są wychowankami i dziećmi dziejów swego narodu. I choć dzieje te były krytycznie oceniane przez wielu (ale nie wszystkich!) historyków niemieckich, to historii, ukształtowanej przez setki lat nieufności, niekiedy nawet wrogości, nie zmieni się jedną książką czy jedną debatą.

W Polsce powinniśmy jednak docenić podjęty wysiłek i koniecznie odejść od obrazu Niemca — odwiecznego wroga, od stereotypu odwiecznej wrogości Polaków i Niemców. Naród, mający silnych sąsiadów winien szukać z nimi dróg współpracy i przyjaźni, a nie odświeżać zgubne teorie dwóch wrogów. Inna postawa może być na dłuższą metę zgubna.

Dzisiaj, pół wieku od wybuchu największego kataklizmu w dziejach naszego kontynentu, wracamy myślami do tamtych dni, do złotej, ale jakże wówczas krwawej, polskiej jesieni. Odzywiają się też głosy o pojednaniu Polaków z Niemcami czy też Niemców z Polakami. Stwierdza się, iż upływ 50 lat od tamtych dni Września wystarcza, by zamknąć ten rozdział historii. Ale my wiemy, że biegu dziejów nie można odmierzać zegarkiem. Pół wieku może być wystarczającym przedziałem czasu dla takiego kroku, który winien być zrozumiany i zaakceptowany przez wszystkich Polaków i wszystkich Niemców, ale będzie to dopiero pierwszy znaczący krok na drodze do takiego celu.

Nie element czasu jest tutaj decydujący; przede wszystkim powinny w obu narodach zaistnieć takie przesłanki, które pozwolą innym i sobie uczciwie spojrzeć w oczy. Musi więc istnieć jasna i niedwuznaczna sytuacja. Nie może być niedomówień czy też różnego rodzaju „ale” w naszej polsko-niemieckiej historii. Trudno będzie zbudować dom pojednania, gdy nadal będziemy konfrontowani obowiązaniem konstrukcji prawnych, głoszących istnienie Rzeszy Niemieckiej w granicach z 1937 r., gdy nadal określone siły polityczne w RFN starają się o to, aby na mapach granica polsko-niemiecka przypominała, iż Rzesza jeszcze nie zginęła. Czas już na pojednanie, ale jeszcze bardziej palącą sprawą jest odejście od drogowskazów, które nie mogą prowadzić do pojednania.

Nowe pokolenia Polaków potrafiły w większości przełamać dawne stereotypy Niemców, w jakie wyposażyla je przeszłość historyczna. Było to możliwe dzięki temu, iż po ustanowieniu granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie Łużyckiej i po uznaniu tej granicy przez dwa państwa niemieckie w umysłach polskiego społeczeństwa znikł punkt zapalny, stale jątrzący stosunki polsko-niemieckie na przestrzeni dziejów. W tej sprawie nie ma podziału wśród Polaków. Cieszy nas też pełne poparcie opinii międzynarodowej. Tym bardziej, że od stanu naszych wzajemnych stosunków zawsze tak wiele zależało, gdyż oddziaływały one na sytuację w całej Europie.

To jednakże powoduje, iż naród niemiecki, a właściwie obydwie państwa niemieckie winny być świadome konieczności uznania Polski jako równorzędnego partnera w dialogu; również naród polski winien zdawać sobie sprawę z tego, że na uznanie składa się pozycja państwa mierzona efektywnością pracy jego obywateli, umiejętnym gospodarowaniem dobrami, pokojem społecznym, służbą dla nadrzędnych interesów narodu. Niestabilna politycznie i słaba ekonomicznie Polska nie sprzyja tworzeniu się postaw, które dla historycznego pojednania stanowią coś więcej niż konieczność. Stąd też na Wrzesień i przewyciężenie jego skutków nie można patrzeć tylko z punktu widzenia przewyciężenia przeszłości; konieczne staje się tworzenie stabilnych fundamentów, na których będziemy mogli tworzyć wspólną historię.

Pragnąłbym, aby przyszłe pokolenia mogły korzystać z takich prac historyków o naszych wzajemnych stosunkach, w których nie znalazłyby się nawet w tytułach słowa o „wzajemnych zmaganiach”, lecz by głosiły one zwycięstwo uczciwego sąsiedztwa i owocnej współpracy.

Red. Edmund Męclewski,
PUBLICYSTA I POSEŁ NA SEJM PRL

Nieraz, gdy otrzymuję zaproszenie na jakąś akademię „ku czci”, czy „z okazji rocznicy” jakiejś tam — zawsze ważnej — trochę się irytuję, bo ogarnęła nas jakaś mania świętowania, rocznic i urządzania akademii. Są jednak rocznice, nad którymi warto się zatrzymać, pochylić głowę, zastanowić, przypomnieć.

Sądzę, iż jeśli chcemy pojmować historię jako nauczycielkę życia — nie wystarczy jej znać lepiej czy gorzej. Trzeba ją próbować zrozumieć, zrozumieć jej sens. Pamięć narodową winniśmy owej „świętej przeszłości” i jej wielkim postaciom — znanym i często zapomnianym do niedawna, ale i sobie — by mianowicie historia się nie powtórzyła. Poznanie i zrozumienie jej — to poznanie i odkrycie związków przyczynowych, a stąd już kierunek na wnioski, zwane naukami historii.

Byłem i ja żołnierzem września; uczestniczyłem jako ochotnik w bitwie nad Bzurą i pamiętam m.in. taki oto mało zabawny szczegół: w Puszczy Kampinowskiej natknęliśmy się na wraki trzech polskich „tankietek”. Załogi były wybite, ale same wozy pancerne wydawały się być całe. — I chociaż było nas tam ponad stu żołnierzy: maturzystów, studentów — żaden z nas nie umiał się z tym żelastwem obchodzić... A może nadawały się do walki?! Ot, inteligenci... Co tu udawać, byliśmy zrozpaczeni i wściekli jednocześnie. Gdy jednak znacznie później zajrzałem do *Małego rocznika statystycznego 1939* — dowiedziałem się z niego m.in., iż Polska u progu wojny miała wszystkich pojazdów mechanicznych, tj. samochodów osobowych i ciężarowych, autobusów, motocykli, ciągników niespełna 42 tysiące (dokładnie 41 948). Trzecia Rzesza miała w tym samym czasie (już po aneksji Austrii, ale jeszcze przed pełnym rozbiorem Czechosłowacji) 1 709 tys. samochodów i 1 583 tys. motocykli... Czy mogliśmy z taką potęgą zakutą w stal i żelazo wygrać? Gołą pierśią przeciw czołgom i wozom pancernym...? Skończyła się więc tamta kampania tak, jak się skończyć musiała przy tej proporcji sił.

Do podobnych wniosków doprowadza zresztą zapoznanie się ze *Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom* Kutrzeby i Mossora (Warszawa 1987). Czytamy tam m.in. we wnioskach z analizy możliwości pomocy z zewnątrz: „Ewentualna techniczna i przemysłowa pomoc Rosji mogłaby w dużej mierze wyrównać przewagę materialną Niemiec (...) armia rosyjska przedstawia dużą siłę techniczną (...) Jedno wydaje mi się niewątpliwe: nie można żadną miarą dopuścić do przymierza Rosji z Niemcami — czego wykluczyć nie można — bo to mogłoby w każdej chwili doprowadzić do ogólnego zgniecenia Polski (...)”. Ot, co!

Rocznica września i „nauki września”, związki przyczynowe... Otóż w moim przekonaniu podstawową przyczyną katastrofy była słabość i samotność polityczna Polski. Wniosek zaś na dziś i jutro? Nigdy więcej słabości i samotności. Politycy i generałowie II Rzeczypospolitej, uwikłani w skutki polityki dwu wrogów (aczkolwiek nie wolno zapominać o osobie Stalina i obawach, jakie budziła jego polityka i stosunek do Polski), widząc niebezpieczeństwo klęski nie widzieli możliwości wyjścia z tej matni. Być może zresztą, było w ich rozumowaniu wiele racjonalnych przesłanek, których skutkiem była nieufność wobec wschodniego sąsiada...

Inna przesłanka moich refleksji. Druzgocąca klęska w kampanii wrześniowej — i triumfalna defilada naszych wojsk w Berlinie, u boku zwycięskiej armii radzieckiej. Dwie były przyczyny w moim przekonaniu tego swoistego cudu. Otóż: międzywojenne dwudziestolecie — tak nie-

słusznie do niedawna w czambuł potępione — dokonało cudu w dziedzinie zintegrowania narodu i rozszarpanych ziem. Nade wszystko jednak narodu: staliśmy się narodowym monolitem, co pozwoliło przeżyć „lata pogardy i nienawiści”, klęskę i męczeństwo w bohaterstwie powszechnym. Wyżej życia naród polski cenił wolność, a pokonany — walczył dalej, wierząc w świętą sprawę tej wolności — walczył do zwycięskiego końca. To zaowocowało.

I przyczyna druga: doświadczenia klęski i ponurej okupacji, przemyślenia na temat teorii i praktyki „polityki dwu wrogów” doprowadziły — mimo strasznego dramatu końca sierpnia i 17 września 1939 r. i związanych z tą datą bolesnych doświadczeń naszego narodu — do życiodajnego sojuszu, do wspólnego marszu we wspólnej walce ze wspólnym wrogiem aż po Berlin i po Łabę. Narodziny i skutek tego sojuszu były wyciągnięciem wniosków z nauki Września: nigdy więcej samotności politycznej. Wkroczenie na drogę unowocześniania państwa i jego uprzemysłowienia było walką przeciw słabości. I aczkolwiek dzisiaj, w dniach głębokiego kryzysu, trudno by mówić o naszej sile — na pewno podwaliny pod jej stworzenie i rozbudowanie położone zostały w minionych dziesięcioleciach.

I jeszcze jedno. II niepodległość, rozpoczęta datą 11 listopada 1918 r., odrodzone wtedy i w następnych miesiącach państwo polskie były jednak zaledwie chwalebny „półmetkiem wielkiego powrotu”, powrotu do granic piastowskich, na ziemię macierzyste, nad Odrę i Bałtyk. Dziś już wiemy wszyscy: granice roku 1918/1919 były konieczne, by mogły wyłonić się z zawieruchy drugiej wojny granice 1945 r. Naród polski uzyskał tym samym dogmat swego życia na następne wieki — zważywszy, iż niepodległość może być i była celem walki narodu aż po jej odzyskanie — potem jednak jej idea się wypalała; pozostawała obrona — a to już nie dogmat kształtujący życie na pokolenia.

Z prawdziwym smutkiem jednak i przygnębieniem muszę w tym miejscu odnotować jeszcze jedną powrześniową refleksję. Gdy bowiem — jak już pisałem — II niepodległość oznaczała integrację ziem polskich i polskiego narodu — III niepodległość ma do odnotowania jedynie wielkie dzieło zintegrowania ziem, ale nie zdołała przez lekkomyślność i zaniedbanie uchronić się przed dezintegracją narodową... Mam na myśli problematykę polskiej ludności rodzimej, przez wielu uważanej za etnicznych Niemców (acz przyczyn jest więcej i ważkich) i m.in. z tym związane sprawy wielkiego *exodusu* tej ludności z Polski do RFN...

Polityka zagraniczna Polski, problem — jak piszecie w swoim liście-ankiecie — „pojednania” Polski z Niemcami wzorem RFN i Francji! Proszę mi wybaczyć — zawsze obruszam się słysząc takie pytanie, czynię to więc i teraz, a to z dwu powodów. Pierwszy: RFN wyrzekła się jakich-

kolwiek roszczeń terytorialnych i innych wobec Francji. Oba państwa mają podobne ustroje i są częściami tego samego świata zachodniego i sojuszy. Nie tak mają się sprawy między Polską a RFN i nie trzeba tego rozwijać. Po wtóre: czy można mówić o „pojednaniu” przed zasadniczym „porozumieniem” i załatwieniem spraw przeszłości najbardziej nabolących? Wyciągamy rękę do RFN nie od dziś: czynił to już Gomułka i wielu po nim — ale Bonn nie podejmowała jej, nasza ręka zawisła w próżni. Tak jest po dziś dzień. Nie wchodząc głębiej w znane wszak zagadnienie, wystarczy spojrzeć dziś na gorszące widowisko nad Renem w związku z półwieczem agresji na Polskę i jej skutków: to sprawa normalizacji, to sprawa uroczystego przypomnienia i upamiętnienia tej niemieckiej wszak agresji i potępienia jej oficjalnie przez Bonn, to sprawa tak hałaśliwie dyskutowanej wizyty bońskich oficjeli z tej (i nie tylko tej) okazji w Polsce, to niegodne dyskusje i roszczenia związane z sytuacją polsko-zachodnioniemiecką...

Otóż w tym aspekcie przed moimi oczyma pozostała jednak — zamglona, ale jednak — część obrazu Niemców z tamtych, wrześniowych dni. Przykro mi to pisać, przekonany jednak jestem, że mam rację. Ale wszak jest i NRD, i są przyjazne stosunki polsko-enerdowskie — niezależnie od doraźnych, acz przykrych i niezrozumiałych zakłóceń... To pojednanie polsko-niemieckie nastąpiło już dawno.

I wreszcie: my i oni w „europejskim domu...” Niedawno, przemawiając w Sejmie na ten temat, mówiłem, iż chciałbym, iż chcielibyśmy mieszkać w takim domu, jednak bez konieczności nieustannego zamykania drzwi i szuflad z obawy przed jednym z lokatorów, jawnie mającym apetyty na to, co nasze. Tzw. „opcja prawna” RFN zmusza nas — niestety — do tej uwagi i czujności. A znamy wszak zasadę: ludziom (i narodom) należy wierzyć, ale lepiej nie dawać im okazji do grzechu...

Dla mnie to jeszcze jedna nauka września i refleksja powrzesśniowa.